



ORO

MARCEL A. MARCEL

ILLUSTRACJE KRZYSZTOF OSTROWSKI



This edition copyright © by Dana Łukasińska and Olga Sawicka
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, 2012

I

DZIECKO W LEASINGU, czyli dlaczego Lena się nie cieszy

„I zostań tam na zawsze, kretynko, wtedy to będą moi rodzice!”. Za Leną z hukiem zamknęły się drzwi. Rozejrzała się po łazience. Ostatni raz? Chyba żart. Tych „ostatnich razów” było pięć. Ostatni „ostatni raz” miał miejsce dwa lata temu. Wtedy bardzo się bała. Nie ma się co dziwić, młoda była. Nie to co teraz. Teraz ma trzynaście lat i na pewno nie będzie zachowywać się jak spanikowana jedena-stolatka, której zależy. Lena spogląda w lustro. Wtedy włosy miała krótsze. Tak, pamięta – przeczesywała je kilkakrotnie wyszczerbionym grzebieniem, a niesforna grzywka i tak nie chciała się ułożyć. Moczyła ją wodą. Nawet jak już siedziała w samochodzie, jadąc do nowego domu, po kryjomu śliniła palce i nerwowo dotykała włosów. Wtedy jej zależało. Chciała się podobać, chciała, by ją polubili, pokochali od pierwszego spojrzenia. Takie tam... Normalne marzenia dziecka, czyli zupełny obciach. Dziś Lena już wie, że się nie spodoba, że jej nie polubią i nie pokochają od pierwszego spojrzenia. Bo miłość nie istnieje. Lena to wie, bo ma już trzynaście lat i dotąd jej nie spotkała.

Odruchowo dotyka włosów. Są teraz długie, sięgają za ramiona. Mają kolor spalonej słońcem słomy. Lena pamięta bardzo dużo. Nawet to, czego nie powinna, czego ludzie z reguły nie pamiętają z tej racji, że ludzki mózg nie ma takich możliwości. Dlatego ludzie nie mają wspomnień z momentu, kiedy się rodzą albo jak raczkują w wieku niemowlęcym. Więc skoro to niemożliwe, to dlaczego Lena pamięta? Na przykład moment, kiedy czyjeś ramiona w granatowym płaszczu wkładają ją do kołyski życia znajdującej się w bocznej nawie

kościół. Ramiona w granatowym płaszczu są wilgotne, bo pada. Opatulają małą Lenę troskliwie kocykiem. Potem zapada cisza i słychać tylko miarowe uderzenia deszczu. Lena pamięta to wszystko, choć normalnie nie powinna. W końcu była na świecie raptem od dwóch godzin. Dziwne? Lena w ogóle jest dziwna. Niektórzy wołają określenie: nienormalna. Wariatka. Schizolka. Lena staje przed umywalką. Dokręca śrubkę kurka. Jak jej zabraknie, kran pewnie całkiem się rozpadnie... „I zostań tam na zawsze, kretynko, wtedy to będą moi rodzice” – znowu to słyszy. Odkręca wodę. Wcale się o nich nie prosiła.

W swoim gabinecie, siedząc za monumentalnym biurkiem, dyrektor Zamczewska nerwowo zakłada nogę na nogę. Przekłada papiery z miejsca na miejsce. Palcem przesuwa do góry zsuwające się z nosa okulary. To przez ten charakterystyczny gest tu, w domu dziecka, wołają na nią Zjeżdźalnia.

– Lenka to trudne dziecko. Co nie znaczy, że złe. Nie ma złych dzieci. Są tylko dzieci niekochane. Ja wiem, że państwo to wiedzą. Jesteście już doświadczonymi rodzicami. Opiekunami. – Dyrektor Zamczewska chrząka nerwowo. – Rodzicami. Lenka przeszła pięć prób adopcji. Nadal tu mieszka. Co znaczy, że się nie udało. No, nie udało się. Ja nie wiem, czyja to wina. Nie chcę oceniać. Opinie dotychczasowych opiekunów nie brzmią zachęcająco. Pozwolą państwo, że przytoczę...

Dyrektor Zamczewska szpera w papierach. Przesuwa do góry okulary. Jej ruchy obserwują przyszli nowi rodzice zastępczy Leny. Siedzą niemal nieruchomo. Mężczyźni porusza się tylko jabłko Adama, gdy od czasu do czasu przełyka ślinę. Kobieta mruga szybkimi seriami, jak ktoś, kto nie do końca rozumie, po co ta cała gadka. Przecież wszystko już załatwione. Okulary Zamczewskiej znowu lądują na czubku nosa. Prawdziwa zjeżdźalnia, nie ma co, myśli kobieta.

– Taki fragment: „Dziecko apatyczne. Niezainteresowane zabawą, edukacją. Nie lubi bliskości”. Albo to: „Dziewczynka wycofana.

Typ milczka. Nie nawiązuje kontaktów z rówieśnikami. Kilkakrotnie przyłapaną na mówieniu do siebie”. A nawet taka opinia: „Dziecko krnąbrne, niezdyscyplinowane, leniwe. Przyłapaną na kłamstwie, kradzieży, grzechu nieczystości. Może być opętana”. Hmm... – dyrektor Zamczewska chrząka zakłopotana. – Niektórych ponosiła wyobrażenia... Jednak żadnej opinii nie należy bagatelizować. Lenka tak właśnie jest odbierana. Jako dziecko dziwne. A kto chce dziwne dziecko? No kto? No nikt.

Lena patrzy, jak woda wypełnia umywalkę. Poczekaj tutaj, aż jej przejdzie. Marlenie. Jak zna życie i Marlenę, to pewnie blokuje drzwi łazienki, żeby Lena z niej nie wyszła. Marlena jest starsza od Leny, ale kompletnie nie radzi sobie z emocjami. Wystarczy na nią spojrzeć, by od razu wiedzieć, co dziewczyna czuje. Kiedy się dowiedziała o adopcji Leny, kompletnie jej odbiło. Bo dlaczego nie wezmą jej, Marleny? Jest starsza, spokojniejsza, ładniejsza i bardziej normalna. Czego o Lenie powiedzieć nie można. Lena też by wolała, żeby wzięli Marlenę. Byłoby więcej spokoju. Bo Marlena kłóci się o wszystko. O zamknięte lub otwarte okno. O nową pościel. O nowe pisaki. O każde czułe spojrzenie Zjeżdżalni, która jest dla nich jak matka i która kocha je po równo, ale przecież niektóre dzieci chcą, by kochano je więcej niż inne. Lena wolałaby, żeby wzięli Marlenę też z innego powodu. Bo Lenie już się nie chce. Już nie ma siły. Przed oczami przemknęło jej wspomnienie, kiedy zasmarkana siedziała w łóżeczku z zieloną grzechotką w kształcie kota i uderzała nią miarowo o metalowe pręty. Spędziła w ten sposób wiele miesięcy w domu małego dziecka, który od szpitala różnił się tylko napisem przy wejściu. Zielona grzechotka zamienia się w zielone oczy Poli, ślicznej pulchnej dziewczynki, z którą Lena trzyma się za ręce podczas spaceru w parku. Jest piękna złota jesień i kilkuletnie dziewczynki zbierają kolorowe liście. Lena odruchowo zaciska pięść. Jak wtedy, gdy aż do bólu ścisnęła ten sam bukiet suchych liści, nie mogąc po prostu uwierzyć w to, co się działo. Stała w oknie, z twarzą przyklejoną do szyby, patrząc jak JEJ Pola odchodzi z przybranymi

rodzicami. Obie płakały, a Pola co rusz chciała zawrócić. W końcu jej nowy tata wziął ją na ręce. Pola coś krzyczała, bijąc piąstkami powietrze, ale Lena nie usłyszała ani słowa. Padał deszcz, a do tego sama głośno chlipała. Kiedy odeszła Pola, na jej miejsce pojawiła się samotność. Lena próbowała się z nią zaprzyjaźnić, ale nadal w ich relacji wieje chłodem. Tak, Marlena jest starsza od Leny, ale ciągle wyjątkowo naiwna. Myśli, że jak ją zamknie w łazience, to nie dojdzie do adopcji. „I zostań tam na zawsze, kretynko, wtedy to będą moi rodzice”, krzyczała do Leny. A proszę bardzo. Ja ich nie chcę. Lena zakręca wodę. Umywalka jest wypelniona po brzegi.

– Lena to wyjątkowe dziecko – dyrektor Zamczewska składa dłonie jak do modlitwy. – Podrzuciona do kołyski życia. Rodzice nieznani. Od urodzenia w domach dziecka. Wrażliwa, bystra, niezwykła. Po ostatniej nieudanej adopcji została gruntownie przebadana. Psycholog, neurolog, psychiatra, okulista, pediatra, foniatra. Orzeczenie lekarskie: dziecko zdrowe i dobrze się rozwijające. Niewielka lordoza. Chodziła na zajęcia korekcyjne. Niedobór wapnia. Piła dodatkowe porcje mleka. Fizjologiczna bradykardia. Czyli serce sportowca. Ale Lena jak dotąd nie polubiła sportu. No, nie polubiła.

Lena zanurza w umywalce palec wskazujący. Mokrym pisze na lustrze: dozo00000. Zawsze wraca. Albo ucieka, albo sami ją odwożą. Najczęściej wtedy, gdy prawda o niej wychodzi na jaw. Dwa lata temu też miał się spełnić cud adopcji. Ale był tylko krótkoterminowy leasing dziecka. Trwał dwa tygodnie. To były piękne dwa tygodnie. Dwoje dzieci plus Lena, wspaniali nowi rodzice. Nowy tata właśnie wkłada beżowy płaszcz. Odbiera od nowej mamy listę zakupów. Potem Lena się dowiedziała, że na pierwszym miejscu listy był tort. Dla Leny. Na jej jedenaste urodziny. Lena zamyka oczy. Z zakamarków pamięci powraca uporczywy dźwięk dzwonka do drzwi. A potem rozdzierający krzyk jej nowej mamy. Na ogrzebie padało. A właściwie lało jak z cebra. To chyba taka jej tradycja. Co rozstanie, to deszcz. Lena pamięta doskonale scenę, która jest w jej pamięci wyryta do bólu, jak tatuaż. Stypa. Sporo osób. Dużo

czarnego koloru. Pachnie świeżo upieczonym sernikiem. Jej nowa mama płacze, siedząc na kanapie. Ktoś ją pociesza. Podchodzą do niej dzieci. Cała trójka. Nowa mama przytula pierwsze dziecko, potem drugie i szlocha coraz głośniejsze. Kolej na Lenę. Nowa mama patrzy na Lenę czerwonymi od płaczu oczami. Jej twarz staje się straszna, usta wykrzywiają się w bolesny grymas. „To przez ciebie!”, syczy nowa mama. „Zabiłaś go!”. Ktoś usiłuje odciągnąć nową mamę od Leny. „To przez ciebie i twój tort! A mówili, że nikt cię nie chce! Że przynosisz pecha! Nie wierzyłam! Po co my cię wzięliśmy?!”.

Lena zanurza twarz w wodzie. To jej najlepsza metoda na wy-ciszenie myśli i wspomnień. Woda spływa po brzegach umywalki i kapie na podłogę. Pod wodą panuje cisza. Lena otwiera oczy. Woda jest chlorowana, więc chwilę szczypie. Lena mruga szybko. Wspomnienia chowają się po kątach. Gdyby się kiedyś nie urodziła, to tamten nowy tata by żył. Bo jak nie ma dziecka, to nie ma jego urodzin i urodzinowego tortu. Ale Lena się urodziła i jest. Niestety, jak się wtedy okazało.

– Lenka skarżyła się, że słyszy głosy. Badanie EEG mózgu nie wykazało żadnych nieprawidłowości. Z testów psychologicznych wynika, że ma ponadprzeciętny iloraz inteligencji, doskonałą pamięć wzrokową i słuchową, a także, niestety, początki zespołu opozycyjno-buntowniczego i zachowania aspołeczne. Ale to dobre dziecko. Takie dziecko to skarb. Trzeba o nią dbać i nie skrzywdzić, a skrzywdzić może wiele rzeczy. Drobnymi gestami nawet, nie mówiąc już o słowach...

Przysłuchująca się temu para spogląda na siebie wymownie. Kobieta pochyła się w stronę dyrektora Zamczewskiej. Kładzie dłoń na jej rozdygotanej ręce.

– Obiecujemy pani, że nie zjemy Lenki od razu. Naprawdę. Najpierw ją trochę podtuczemy, bo jest taka chudziutka.

Dyrektor Zamczewska nie dowierza własnym uszom. Patrzy na siedzącą naprzeciwko kobietę i widzi duże brązowe oczy: spokojne, pełne ciepła, z małymi chochlikami skorymi do żartów. Kobieta

uśmiecha się. Dyrektor Zamczewska czuje, jak schodzi z niej napięcie. Odwzajemnia uśmiech.

– Przepraszam. Przecież wszystko to już wiecie... Tak bardzo mi zależy, żeby tym razem... Macie wspaniałe dzieci i ogromne doświadczenie. To wszystko przez nerwy. Między dzieckiem z placówki a rodzicami adopcyjnymi jest jak między dziewczyną a chłopakiem. Musi być chemia. Nie ma chemii, nie ma związku. W przypadku Leny nie było chemii. No, nie było.

Lena wyjmuje twarz z wody. Łapczywie wciąga powietrze. Od razu też słyszy trajkotanie Marleny. To, że nie blokuje wyjścia, nie znaczy, że odpuściła.

– A ta znowu robi za topielicę Jezu świrownia dwadzieścia cztery ha i że oni cię chcą to ja się dziwię i dziwię ale cóż widać lubię takie jajka z niespodzianką jak ty a jak cię nie złożą do kupy bo wiadomo że ci elementów pewnych brak to cię oddadzą i jeszcze odszkodowania zachcą łóżko zaklepuję po tobie jak i pisaki i nie wiem po co ci ten czerwony segregator no co wyluzuj sprawdziłam nic w nim nie masz powietrze przechowujesz tylko i kurz a mnie by się przydał na projekty sukien ślubnych balowych i dansingowych bo w przeciwieństwie do ciebie ja mam w głowie posprzątane i ułożone jak na regale i wiem do czego dążę i co w życiu osiągnę bo zainteresowania mam i ambicje...

Marlena nigdy się nie męczy, gdy mówi. Jakby z każdym słowem zyskiwała więcej energii do ich produkowania. Bez oddechu, bez kropki czy przecinka, bo po co marnować czas na przerwę. Lena wchodzi do ich wspólnego pokoju. Chowa do walizki ostatnie rzeczy. Ściąga ze ściany przyczepiony pinezką obrazek z Aniołem Stróżem i zdjęcie Buddy wycięte z gazety. Obrazek dostała od misjonarki, zdjęcie wycięła sama, tknięta przecuciem, że Bóg owszem, może jest i jeden, ale kto wie, pod jaką postacią lubi być czczony? Otwiera szafę, by sprawdzić, czy nic w niej nie pozostało. Szafa jest pusta i chwieje się, choć nie dalej jak wczoraj podłożyła pod jej nogę złożoną na cztery kartkę. Lena szpera w walizce, wyjmuje zeszyt, wyrzywa

z niego kartkę, składa kilka razy i podkłada pod nogę szafy. Znowu stoi stabilnie. Dziewczyna podchodzi do okna. Krok w krok za nią podąża paplająca Marlenu. Lena bierze do ręki brzeg firanki i zaplata na niej supeł.

– Czemu tak? – dziwi się Marlenu.

– Oddaj mi to.

– Co? – Marlenu udaje, że nie rozumie.

– Oddaj.

Marlenu patrzy na Lenę niechętnie.

– Czarownica.

Lena wyciąga otwartą dłoń. Marlenu z kieszeni spodni wyjmuję zawieszoną na łańcuszku białą porcelanową gałkę z niebieskim wzorkiem. Lena zawiesza łańcuszek na szyi i chowa go pod tizert.

– A weź sobie wcale tego nie chciałam tylko leżało więc pomyślałam że zostawiłaś mi specjalnie na pamiątkę taką ale widzę że ty niezdolna jesteś do uczuć wyższych co jest jasne jak słońce bo jak się jest bękartem od urodzenia to co się dziwić nie ma kto wszczepić ludzkich odruchów wiadomo weź ja sobie kupię prawdziwą biżu bo zamierzam do czegoś w życiu dojść nie będę wieszając na szyi kawałków szuflad ale ty nie miej z tym problemów wariatce takie rzeczy pasują spoko nawet jakbyś se na głowę abażur założyła to byłoby git...

W gabinecie dyrektor Zamczewska zamyka teczkę z dokumentami Leny. Podnosi smutne oczy na stojących przed nią kobietę i mężczyznę.

– Pani Wando, panie Romanie, właśnie zostaliście rodzicami Leny. Gratuluję państwu nowej córki. Czas zabrać ją do nowego domu...

– Zrobimy wszystko, by była szczęśliwa – po raz pierwszy odzywa się nowy tata Roman.

– I uczynimy to z przyjemnością – dodaje rozpromieniona nowa mama Wanda.

Cała trójka kieruje się do drzwi.

– Lena, twoi stazy tu idą! – Do pokoju Leny i Marleny wsadza głowę sepleniący mały Krzys. – A Zjeżdżalnia chyba płakała, bo ma cerwony nos!

– Spadówa, szczylu! – Marlena wypycha głowę Krzysia za drzwi. Patrzy ze złością na zbierającą się do wyjścia Lenę. – Co się gapisz? No leć do nich leć bo jeszcze się rozmyślą...

Kiedy Lena wychodzi za próg pokoju, drzwi za nią zamykają się z hukiem, pchnięte przez Marlenę. Lena wzdycha głośno.

Na podjeździe stoi granatowy wan, do którego Roman właśnie chowa walizkę Leny. Każdy jego ruch obserwują dziesiątki oczu dzieci stojących w oknach domu dziecka. A więc tak to wygląda, jak zabierają cię mama i tata. Fajnie, no nie? Mama Wanda siedzi z przodu samochodu, Lena z tyłu. Ma nisko opuszczoną głowę, bo nie chce nawet przez ułamek sekundy zobaczyć ani gapiących się dzieci, ani stojącej na schodach dyrektor Zamczewskiej. A Zjeżdżalnia stoi jak posąg, nieruchomo. Ręce spłotła wokół ciała, jakby było jej zimno, choć słońce przygrzewa rozkosznie, bo właśnie rozpoczęły się wakacje. Roman siada za kierownicą. Macha w stronę Zamczewskiej. Zjeżdżalnia unosi rękę w pożegnalnym geście. Samochód rusza. Znikają twarze dzieci, które teraz na wyścigi ruszają do byłego pokoju Leny. Kto wie, może o czymś zapomniała? Zostawiła? Będzie super coś znaleźć. Zjeżdżalnia patrzy na odjeżdżający samochód, ale Lena się nie odwraca. Żadnych ckliwych scen. Żadnych wzruszeń. Zresztą i tak nic nie czuje. Wisi jej to.

Dyrektor Zamczewska wolno idzie korytarzem domu dziecka. Pomimo krzyków Marleny wyrzucającej z pokoju kolejnego dzieciaka, który szuka pamiątek po Lenie, Zamczewska czuje dziwną ciszę i pustkę. Wchodzi do gabinetu. Siada za biurkiem. Przez chwilę nie dowierza własnym oczom. Na stosie papierów leży łańcuszek z białą porcelanową gałką w niebieskie wzorki. Po nosie Zamczewskiej zsuwają się okulary. Zjeżdżalnia zdejmuje je i odkłada na biurko. Zakrywa dłońmi twarz.

OBCY ATAKUJĄ, czyli jak Lena poznaje nowy dom

Lena lubi Warszawę w lecie. Bez tego całego zapędzenia. Rozgrzaną, z cierpkim zapachem kurzu i asfaltu. Miasto jest wtedy jak ciepła bułeczka – można się z nim, i słońcem z przyjemnością nasycić. Teraz ogląda znane ulice, place, sklepy, chociażby po to, by nie patrzeć na Wandę i Romana. Nie chce. Po co? Na pewno są skrępowani jej obecnością, nie wiedzą, co powiedzieć, od czego zacząć. I na pewno już żałują, że ją wzięli.

Cieszyłaby się, gdyby umiała. Jej nowy dom (wiadomo, że na krótko) jest na Bielanach. Lena wie, że Bielany są pełne zieleni. I że tam jest AWF, gdzie Lena poniosła pierwszą sportową porażkę. To nie było przyjemne. Myślała (o naiwności!), że karate to taka romantyczna walka pełna wspaniałych wyrzutów nogą i miękkich ruchów rąk. A to szarpanina za kimono, pot i upadki na matę. I coś jeszcze. Błysk w oczach przeciwnika. Żaden tam niebiański spokój. Chęć pokonania partnera i tyle. Lena zrezygnowała. Podobno nie miała woli walki. Pewnie nie miała.

– Zajrzymy tylko do biblioteki.

Nowa mama Wanda odwraca się do Leny. Jej gruby warkocz kasztanowych włosów lśni w słońcu. Tak zaplecione włosy nie pasują do czterdziestoletniej kobiety, ale Wanda ma w sobie coś dziewczynskiego i matczynego zarazem. Pulchna, o zarumienionych wesołych policzkach. Jest gruba, myśli Lena. Za gruba. Pewnie obżera się wieczorem. I pewnie dla poprawienia nastroju mówi o sobie „puszysta”. Lena nie ma litości.

– Memory jest bliski rozpaczy. Czeką na tę książkę, już ile! Trzy miesiące? – Wanda zwraca się do męża, a on tylko kiwa głową.

Milczek, ocenia nowego tatę Lena. Albo nie chce mu się nawet z nią gadać. Lena wie, że wszystko, co wydaje się fajne i miłe, nigdy takie nie jest naprawdę. Na przykład wydatne uszy Romana. Na pierwszy rzut oka zabawne, ale Lena jest przekonana, że robią się czerwone, kiedy ich właściciel się złości, a złości się na pewno często. Dorosli złością się często i z byle powodu. Lena nie ma wątpliwości.

– Albo nawet dłużej! – Wanda nie czeka na odpowiedź. – Teraz jest na etapie poznawania kosmosu i czyta wszystko, co wpadnie mu w ręce – tłumaczy Lenie Wanda. – Zresztą sama zobaczysz – śmieje się.

Roman kiwa głową, jakby mówił „Zobaczysz, nie ma bata”. Lenie jest wszystko jedno, czy Memory czeka na tę książkę, czy nie, czy zatrzymają się po nią i w ogóle kim jest Memory. Wisi to jej. Obiecała sobie, że wszystko, co ją spotka w tym nowym domu, będzie nieważne i tyle.

Roman parkuje pod dużym budynkiem na Koszykowej. Wypasiona biblioteka. Lenka zawsze chciała się do niej zapisać, ale dzieci z domu dziecka były przypisane do jakiejś małej osiedlowej biblioteki, gdzie z rzadka pojawiały się nowości.

– Idziesz? – Wanda jest już prawie na zewnątrz. – Możesz się od razu zapisać. Pani Sylwia będzie zachwycona.

Wanda śmieje się, jakby pod tym zdaniem kryło się coś więcej niż tylko to, że bibliotece przybędzie nowy czytelnik. Lena wrzuca ramionami. Ostentacyjnie odwraca głowę. Woli zostać tutaj. Po co ma „coś” zobaczyć, „gdzieś” się zapisywać? Nie będzie jej to potrzebne. To prawda, lubi czytać. Ale wisi jej to. Wanda uśmiecha się niezrażona. Często się uśmiecha. Lena chciałaby znaleźć w tym jakąś wadę, określić to zgryźliwie, nieprzychylnie, ale rezygnuje. Uśmiech Wandy jest naprawdę szczery i taki... miły, więc nie będzie na niego po prostu zwracać uwagi. Nowa mama już znika w drzwiach biblioteki.

No tak. Teraz będą siedzieć i milczeć. Lena udaje, że patrzy w okno, ale tak naprawdę zerka na siedzącego przed nią mężczyznę. Przynajmniej nie ma zaczeski. Faceci o takich mikrych włosach lubią je sobie robić. Precyzyjnie zaczesane z jednej strony głowy na drugą. On jest ostrzyżony króciutko. Przynajmniej nie udaje, że ma włosy. Na pewno włączy radio. Rzadko kto wytrzymuje ciszę. Lena wytrzymuje. Roman odwraca się i patrzy na nią. No dalej, teraz powinno nastąpić przyjazne rozciągnięcie warg pod tytułem „już cię lubię, jestem fajny, ty jesteś fajna, wszystko jest fajne”. Roman patrzy uważnie, spokojnie. Lekki uśmiech. Milczą. Zero radia. Ciekawe, co on taki spokojny? Dla Leny to podejrzane. Nie zdziwiłaby się, gdyby był seryjnym mordercą albo przynajmniej kolekcjonerem kapsli...

– Jedziemy! – Wanda jak burza wsiada do samochodu. – No chyba mnie szlag jasny trafi! Ale niedoczekanie! Nie mam zamiaru... Skorupki cztery – zwraca się jakby bardziej do męża – oglądać jego rozczarowania... no wiesz, tam, koło tego sklepu, co...

Roman rusza bez słowa.

– Uczy się jej na pamięć, czy co?! Jasne, że jeszcze nie oddała – Wanda odpowiada na niezadane pytanie. – Ale niedoczekanie.

Lena tylko udaje, że nie słucha tego monologu. Dawno nie widziała takiej pasji z powodu jakiejś książki dla jakiegoś Memorego.

– Sylwia oczywiście robiła ceregiele, ale to przecież niesłychane...!

– Cztery? – głos Romana jest przyjemnie głęboki.

Lena drgnęła zaskoczona. Głębią głosu i tym... że w ogóle jest. Wanda szybko kiwa głową.

– Więc zwinęłam jej adres. – Roman unosi brwi. – No przecież Sylwia nie może mi go podać, ale może na chwilę się odwrócić, prawda?

Roman kręci głową z niedowierzaniem. Lena uśmiecha się. Ale, rzecz jasna, tylko w duchu i krótko.

– Tutaj! – Wanda triumfalnie pokazuje palcem.

Roman elegancko zatrzymuje się przed odrapaną kamienicą na Skorupki.

– Zaraz wracam!

W sumie to dziwne, jak szybko może się poruszać ktoś, kto ma sporą nadwagę. Tym razem Lena nie odmówiłaby pójścia z Wandą. Ale tym razem taka propozycja nie pada.

– A jeśli jej nie będzie? – Jaki dziwny jest dźwięk z nieużywanego gardła. Lena chrząka. Ale obciach. Miała się nie odzywać. Po co w ogóle otwiera usta, przecież nic ją to wszystko nie obchodzi. Lena najchętniej palnęłaby się w ten jasny, głupi łeb, który nie wiadomo po co nosi na karku.

– Wystarczy, żeby ktoś tam w ogóle był – mówi nowy tata, a Lena wyraźnie czuje pewność, że sprawa zostanie załatwiona.

To naprawdę trwało moment. W odbiciu samochodowej szyby Lena widzi, że drzwi kamienicy otwierają się gwałtownie i Wanda już jest w samochodzie.

– Nic jej nie zrobiłam – tłumaczy się od razu. – Po prostu poprosiłam.

Jasne. Spojrzenie Romana starcza za wszystko. Wanda wzdycha z ulgą. Wertuje książkę.

– W porządku. Co my tu mamy? Czerwone karły, czarne dziury, przejście w wymiary elementarne, czy jak się to tam nazywa... Ten dzieciak kiedyś od tego zwariuje. Jaką chcesz farbę? – Wanda na jednym oddechu zmienia temat. – Bo na razie pokój jest na biało. Czekaliśmy z kolorem na ciebie.

Lena z trudem ukrywa zdziwienie. Chcą, żeby wybrała kolor do swojego pokoju?!

– Iskra ma na pomarańczowo, Cienka niebiesko...

– Czarny. – Lena patrzy przez okno z udawaną obojętnością. Po co to powiedziała? Wcale nie chce czarnego pokoju.

– Mat czy błysk? – Wanda nawet trochę nie jest zaskoczona.

Co tu się dzieje? Lena wzrusza ramionami.

– Wszystko jedno – wycofuje się.

– Wanda, nie można wybrać czegoś, nie widząc do czego.

Ale się rozgadał. Myśli Leny strzykają jadłem, ale w sumie jest wdzięczna Romanowi. Wybawił ją z kłopotu. Lena gapi się na mijany park Krasińskiego. Jest piękny, ale kojarzy się jej tylko z „eksperymentem przystosowawczym”. To tutaj przyprowadzali ją jedni z jej „rodziców”. Znikali nagle, kiedy się bawiła z innymi dziećmi. Lena pamięta ucisk w gardle i wszechogarniającą panikę, kiedy spostrzegą, że nie ma ich w pobliżu. Byli i nie ma. Drzewa stawały się potworami, a trawa szybko gęstniała. Ależ wtedy była głupia. Mimo woli Lena nie może pozbyć się nagłej suchości w gardle. Dopiero później okazało się, że „rodzice” chcieli w niej wyrobić instynkt. Żeby nigdy nie traciła czujności i zawsze się ich pilnowała. Miało jej to ułatwić życie. Ciekawe.

– Chryste, objazd! – Wanda zaczyna się wachlować książką, co Lenie wydaje się mało skuteczne. Zapada pełna napięcia cisza. Samochody jadą w żółwym tempie.

– Wjedź tutaj. – Wanda macha ręką przed nosem Romana, który nie zwraca na to uwagi. Kieruje się znakami.

– Tak to nigdy nie dojedziemy. – Wanda wzdycha ostentacyjnie.

Lena jest zadowolona. Nareszcie będą jak wszyscy. Ona zdenerwowana, on wściekły za wtrącanie się w prowadzenie samochodu. Zaczyna się. Lena ma dziwną satysfakcję. Będzie okropnie, bo prędzej czy później zawsze tak jest.

– Jeździłam tutaj piętnastką. Tam jest skrót. – Wanda prawie sięga po kierownicę.

– To nie jest tramwaj – Roman nie traci spokoju.

– Wiem, ale jest skrót!

To wszystko, na co ich stać? To ma być kłótnia? Kobieta i mężczyzna w samochodzie plus korek plus objazd równa się wielka awantura. Jak widać, nie zawsze... Dziwne. Lena jest rozczarowana.

– Jak jedziesz, ofiaro!? A znaki to pies?! – Wandy w samochodzie jest tylko pół, reszta na zewnątrz wygraża toyocie.

– Nie kombinuj, bo przekombinujesz! – Roman ciągnie żonę za spódnicę.

– A bo kretyn jakiś. – Górna część jest już z powrotem – A skrót był tam! – Wanda nie daje za wygraną. Roman tylko kiwa potakująco głową.

Bielany. Uliczka jest nieduża, spokojna. Przed jednorodzinnymi domami trawniki, kwiaty, różnie. Lena czuje łaskotanie w brzuchu. To idiotyczne, wie o tym, ale nie może się tego pozbyć. Jest kolejny dom, będzie kolejne rozczarowanie. Ile jeszcze razy? Postanowiła nie reagować. A jednak denerwuje się. Za nic tego nie okaże. Łaskotanie nie ustaje. Roman otwiera bramę.

Działka jest porośnięta zielenią. Jadą wolniutko, bo wyłobienie jest tylko na koła samochodu. Jakby się zanurzali w liściach i gałęziach. Dom. Niezbyt duży, ale każda jego część jest inna, jakby dobudowana, w innym kolorze, stylu. Z balkonikiem, wykuszem, parapetem pełnym kwiatów. Lena nie może oderwać oczu od tego dziwu. Nic tu nie powinno pasować, ale w jakiś nieodgadniony sposób pasuje. Parkują. Trzeba wysiąść. Teraz nastąpi to następne. Równie trudne. Dzieciaki. Lena wie, że jest ich pięcioro. Zdążyła się już przyzwyczaić, że nigdy nie jest sama. Dzieciaki są prawie zawsze.

Od razu czuje czyjś badawczy wzrok. Po chwili orientuje się, że chłopczyk, mniej więcej pięcioletni, nie odrywa od niej oczu. Oczu powiększonych jeszcze o grube szkła okularów. Jest chudziutki, z niesformą czupryną jasnych włosów. Rusza do niej natychmiast. Lena kurczy się w sobie. Spadaj, gnojku, myśli. Teraz się zacznij: każe do siebie mówić „braciszku” i obsłini ją pocałunkami. Tymczasem chłopiec staje i patrzy uważnie.

– Poznaj Oko – ostrzegawczo rzuca Wanda.

– Ile masz zrostu? Ile wagi? Masz stanik? Co wolisz, kroczące, pełzące, a może lecące?

Roman wyjmuje z bagażnika walizkę Leny. Wszyscy ruszają do głównego wejścia z drugiej strony domu.

– Przyzwyczajaj się – znacząco rzuca Wanda, a Oko nie ustaje.

– Zimna woda jest lepsza od ciepłej?

– Lepsza – mechanicznie poprawia go Wanda.

– A byłaś kiedyś na planecie Soria? – ciągnie niezrażony Oko.

Są już po drugiej stronie domu. Lena widzi dwie postaci. Jedna jest chuda, z rudawą burzą włosów i zbiera coś pieczołowicie z trawy, druga, o kilka lat od niej starsza, olbrzymia, z figurą Barba Mamy, wyrzeka na całego, stojąc z założonymi rękami.

– Wiedziałam, że tak będzie! – lament stojącej dosięga ich uszu.

– Wszystko wylądowało na trawniku! – Postać przypominająca Barba Mamę stara się okiełznać niesforne kosmyki różowo-fioletowych włosów targanych przez wiatr.

– No co? – broni się młodsza skupiona nad zbieranymi na talerz resztkami. – Będzie tort z mchu i paproci.

– Z robakami i piachem. – Dziewczyna jak Barba Mama już jest przy Lenie. – Cienka – przedstawia się. – A tamta – pokazuje na wątplą postać rudawej dziewczynki – to Iskra. Kiedyś ją zamorduję i na pewno nie pójdę za to siedzieć. Zbrodnia w afekcie – mruga do Leny.

Na ganku nieruchomo stoi chłopiec z wyciągniętą ręką. Jego wargi są jak cienka linijka. Czarne włosy otaczają bladą twarz. Długi czarny sweter totalnie nie pasuje do gorącego dnia. To musi być Memory, bo Wanda podaje mu książkę, a on bez słowa odwraca się na pięcie i niknie w mroku domu.

– Dziękuję! – woła za nim Wanda i może tylko Lenie się wydaje, że słyszy „uję”, bo Oko ma następne pytania.

– Wolisz: sobotę czy niedzielę? Dlaczego nic nie mówisz? Masz język? A strumnę głosu?

– Struny głosowe, matołku. – Cienka odstawia go stanowczo od Leny. Mały traci orientację, zaplątany w jej wielkie kolorowe spódnice. Bo Cienka ma na sobie szal kolorów i falban. Oko przez moment idzie w przeciwnym do dziewczyn kierunku, nie przestając zadawać kontrolnych pytań. Po chwili orientuje się, że ani Leny, ani Cienkiej nie ma koło niego. Szybko naprawia swój błąd.

– Ale masz długie palce! – Jego wzrok jest akurat na wysokości dłoni Leny. – Czy to jest normalne? Dłubasz nimi w uchach?

– Dłubiesz w uszach. Upiekłam ciasto na twój przyjazd, ty akurat możesz jeść całkiem spokojnie – Cienka obrzuca wzrokiem szczupłą sylwetkę Leny – to znaczy mogłaś, bo Iskra je niosła, a wierz mi, nie chciałam, żeby Iskra je niosła, ale wiesz, jaka ona jest, to znaczy jeszcze nie wiesz...

– Mogę cię dowiedzieć z moim pająkiem?

– Odwiedzić. Przesławia przedrostki. W ogóle wszystko przedstawia. Męczący jest! – Cienka wznosi oczy do nieba.

Szczupłe ręce Oka aż do samych ramion pokrywają naklejki. Jest ich mnóstwo.

– Tyle roboty! Dwanaście jaj! I koniec końców wszystko leży na ziemi. Koszmar!

Lena idzie za Romanem. Wpatruje się w swoją walizkę jak w kompas. Oni są stuknięci. Wszyscy, i to zdrowo.

– Arnold się pojawił? – pytanie Wandy zatrzymuje potok pytań Oka i wyrzekania Cienkiej.

– Jeszcze nie – to Iskra, która zebrała już całe ciasto na talerz i nie oglądając się, popędziła do ogrodowego stołu. Wanda spogląda na jedno z okien na piętrze. Jest zamknięte. Zasłony zaciągnięte.

Wchodzą całą kawalkadą do środka. Przez moment Lena nic nie widzi, tak ogromny jest kontrast między jasnością na dworze a mrokiem wnętrza. Rozpoznaje sien, otwarte na oścież drzwi, w których widzi ogromny stół, i schody prowadzące na górę. To po nich wspina się Roman z jej walizką, Lena podąża za nim. Wanda znika w pomieszczeniu ze stołem, Cienka waha się przez moment, czy iść za nią, czy za Leną. W końcu wybiera drogę do kuchni. Na dole schodów zostaje Oko.

– Masz swoje zwierzątko? Ile zrostu mają twoje włosy na okach?

Roman otwiera drzwi i przepuszcza przed sobą Lenę. Dziewczynka staje na środku pokoju. Roman stawia jej walizkę obok starej szafy.


– Witaj – mówi i cicho zamyka za sobą drzwi. Lena słyszy, jak schodzi. Chyba zagarnął ze sobą Oko, bo po chwili milknie i jęgo

głosik. Dziewczynka ciągle stoi, patrzy na otaczające ją przedmioty. Łóżko, nieduże biurko, szafa, półki na książki, okno za kremową zasłoną. Lena słyszy szum. Pod tym względem nic się nie zmieniło. Gdziekolwiek jest, one ją rozpoznają. I mówią. To pomieszane, szeleszczące dźwięki. Jakby ktoś zostawił włączony telewizor, a program dawno się skończył. Dźwięk jest cichy, ale nieustęplicy. Lena uśmiecha się ciepło.

– Mam na imię Lena – odpowiada.







**Kto wybiera samotność,
nigdy nie jest sam**

Tak działa tego rodzaju magia,
która obywa się bez magii. Pojawia się
dokładnie wtedy, gdy jest potrzebna.
I zostaje jeszcze długo po tym,
kiedy skończysz czytać tę książkę.
Jest jak odbicie w lustrze,
które zaczyna żyć własnym życiem.

Stań mu naprzeciw!

www.oro.marginesy.com.pl

www.facebook.com/oro

www.marginesy.com.pl



9 788393 375820 >

cena 34,90 zł